Nro 8.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 5 kwietnia 1845. Rok szósty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 22 marca 1845.

Stroje damskie. Sposób całkiem nowy przystrajania sukień, a szczególniej sukień balowych, zależy na tem, aby spodnice były ozdabiane piramidami, tojest: wielką ilością kół w pewnej od siebie odległości, których szerokość jest stopniowana tak, że koło u góry które powinno dość blisko stanika znajdować się, jest bardzo wązkie, a koło u dołu bardzo szerokie. Rodzaj i gust tych piramid zależą od materii z jakiej jest suknia; wstążki axamitne, nowo wynalezione korunki *à la zéphire*, frenzle przezroczyste i mnóstwo innych przydatków, bardzo dobrze się wydają w tym rodzaju przystrajania sukień. Co jednak najbogaciej i najkorzystniej wygląda, to piramidy z prawdziwych nicianych korunek, lub z blondyny w szerokie desenie. To jednak jeszcze dodać musimy że koła tych piramid, w takiej od siebie powinny być odległości, ażeby dobrze widzieć można było materią z jakiej jest suknia.

Z kilku sukień których gust całkiem nowy, nas zachwycił, wymienimy. Suknię z włoskiej materii, frenzlami obszytą, także suknię na zabawę wieczorną, z materii *poult de soie* koloru białego, i ubraną trzema rzędami kół z których każde składa się z siedmiu, dziewięciu do jedynastu fontaziów z tiulu bruxelskiego, wspomniemy jeszcze o sukni atłasowej koloru popielatego, przystrojonej trzema rzędami frenzli z szlakiem tej samej szerokości co frenzla; stanik u tej sukni gładki, mocno kończasty, zachodzący wysoko na ramiona, a z przodu do połowy otwarty; do tej sukni powinna być mała pelerynka kończąca się z przodu śpiczasto, a dochodząca tylko do połowy stanika; wkoło obszyta frenzlą; rękawy gładkie; kołnierzyk haftowany, batystowy, koruneczką obszyty.

Głównym strojem głowy są teraz tak zwane zawoje paziowskie; jestto strój średnich wieków, a który bardzo do smaku przypadł naszym paniom, gdyż łatwo poznać mogły że im w nim będzie do twarzy; strojem tym są zawoje z białego gładkiego tiulu, okręcane sznurkami stalowych paciorek.

Do codziennego wyjścia używane są kapelusze z materii *poult de soie*, także z mory, koloru liliowego; do stroju, kapelusze z mory białej, najczęściej z białemi piórami.

Czepeczki noszą troche większe niż dotąd; najwięcej z nich są z denkami rzęsisto garnirowanemi; tiul gładki i muszlin są najbardziej do tego rodzaju stroju głowy używane.

Stroje męskie. Tużurki najnowszej mody mają zwykle axamitny kołnierz, kieszonki po lewej stronie na piersiach, rękawy z wyłogami bardzo wązkiemi, a na przodzie pięć guzików. Do takich tużurków spodnie są zwykłego kroju jakeśmy już dawniej opisali.

Fraki noszą bez wycięcia, ze stanem długim, z krótkiemi połami, u dołu bardzo wązkiemi. Do takiego fraka służą sdodnie których krój jest taki że szwy boczne od pasa aż do dołu wypadają na przodzie.

R y c i n a p r z e d s t a w i a: suknię z fularu gładkiego, na dole bufkami i śrebrnemi sznureczkami ubraną. Drugi szlafroczek z jedwabnej materii. Trzecia suknia jedwabna z dwoma falbanami korunkowemi, stanik gładki z bertą równie korunkową. Czwarty tużurek z kieszonką na piersiach. Piąty frak od przechadzki.

SZKIC
Z POBYTU W KARLSBADZIE I MARIENBADZIE

PRZEZ
ADAMA KŁOBUKOWSKIEGO.

Dokończenie.

Marienbad jestto wielki park angielski: duży okręg gdzie się w środku znajdują źródła, zapełniony roskosznemi klomby i chodnikami, obrzucony naokoło wspaniałemi domami, stanowi serce Marienbadu, z którego w różnym kierunku rozbiegają się żyły długą doliną, okoloną górami, zewsząd zieleniącemi bujnym wieńcem lasu. Kto chce poznać ognisko wielkiego świata, niech się przypatrzy Karlsbadowi, kto chce czystym powietrzem z pełnej piersi odetchnąć, niech się w Marienbadzie rozgości. Jakaś spokojność stanowiąca ogólne piętno tego miejsca, milej przemawia do duszy, jak ten gwar, co tylko wabi ponętą nowości, ale wreszcie męczy, nudzi. I Marienbad nie jest ogołocony z ozdobnych błyskotek, ale kto wpatrzywszy się w nie, rzuci znienacka okiem na piękną naturę, mniej przekształconą ręką sztuki jak najbliższa okolica Karlsbadu, jakoś nie prędko znowu się odwraca, by dalszy robić przegląd błahych drobnostek. W dnie piękne wielką liczbę kąpielnych gości zwabia *Königswart* zamek xięcia Meternicha, o tyle przyległy że można w jednym dniu zwidziwszy go dokładnie, wcześnie powrócić i żadnej tem nie zrobić przerwy w przedsięwziętej kuracii. Inaczej ma się zwycieczką do Karlsbadu, tą niby stolicą do której marienbadzcy parafianie jadą czerpać wzory mody i tonu. Odległość kilkomilowa, ogromnemi górami pogarbiona, dłuższego potrzebuje czasu, i przebywa się już zwykle z jakimś uszczerbkiem źródłowych obowiązków. Prócz tego napływ komunikacii między temi dwoma miejscami jest zadziwiający. Codziennie zaledwo kilka a czasem kilkanaście pocztowych pojazdów potrafi pomieścić masę chciwych rozrywki, zmiany miejsca i towarzystwa, a najczęściej powitania znajomych lub krewnych. Ponieważ na poczcie zachowany jest zwykle w udzielaniu miejsc jadącym porządek pierwszeństwa, ujrzałem z żalem wszystkie wygodniejsze pojazdy już zajęte, i w dwoch tylko ciasnych koczykach zostawiono mi wybór miejsca. Powierzchowność i wewnętrzne pojazdów urządzenie przypominały mi polskie nasze przysłowie: »z deszczu pod rynnę« gdy nagle w jednym koczyku ujrzałem dwie młode damy i jednego mężczyznę mówiących moją rodzinną mową. W okamgnieniu byłem obok nich, zdało mi się że kogoś z dawnych znajomych powitam. Ale niezupełnie zawiodłem się. Chociaż pierwszy raz widzieliśmy się, znajomość nasza zapożyczyła się, że tak rzekę, u przeszłości: w parę godzin znałem ich więcej, jak znam częstokroć osoby najbliżej mnie będące. Jedna z jadących dam była hrabina B* druga jej siostra, mężczyzna im towarzyszący, jenerał S*. Piękne damy, pełne otwartości i wdzięku, pełne żywości i najlepszego wychowania osładzały w całem znaczeniu tego wyrazu, przykrą drogę dzielącą Marienbad od Karlsbadu. Cały wątek przeszłego ich życia i domowych stosunków stanął na widoku przedemną. Rozmowa krążyła na przemian około przedmiotów poważnych i wesołych. Jenerał opowiadał nam zajmujące wypadki ze swego życia wojskowego, i do wszystkiego łączył ożywiającą iskrę dowcipu. — Czy wierzycie państwo rzekł w końcu, że przez kilka godzin byłem umarłym; a co dziwniejsza, że poźniej byłem sędzią przeciw i o własną śmierć moją. Byłoto w roku 1833. Lekarze wyprawili mnie do Teplitz. Przy końcu przepisanej kuracii odbieram listy z Drezna że moja kuzyna puszczająca się w daleką podróż, czeka na moje przybycie. W okamgnieniu zaprzężono do mego pojazdu parę najętych koni, i puściłem się w drogę pomimo nadchodzącej nocy. Xiężyc świecił wspaniale w całym blasku swego majestatu na szafirowem niebie, powietrze było czyste i chłodne, jednostajny ruch pojazdu coraz bardziej wprowadzał mnie w sferę przyjemnych marzeń, które opanowawszy moje władze umysłu, oskrzydliły je coraz zgęszczającą się chmurką odurzenia. Widziałem jednak jeszcze dokładnie, jak mój woźnica zsiadłszy z kozła podcinał rzęsiście biedne rumaki drapiące się na szczyt góry, i wtem nagle zdrzemnąłem. Wraz uczułem że się niewstrzymanym pędem toczę w jakąś niezmierzoną głębię. Dziesięć, dwadzieścia razy okręciłem się już w pędzie, a obrót mój stawał się coraz szybciejszy, coraz niewstrzymańszy. Chwytałem za spotykane szczypty trawy lub pęki krzewów całą siłą mej ręki, ale trawa i krzewy wyślizgiwały się z dłoni, albo toczyły się za mną, wyrywane mocą mego własnego ciężaru. I jeszcze chwilę miałem przytomność, w tem raz jeszcze uderzyłem ostatnim podrygiem kuli działowej, i już niewiem co dalej ze mną się stało, już byłem bez czucia i życia. Otwarłem oczy, z trudnością mogłem rozróżnić co się ze mną dzieje, dotykałem ręką około siebie, chcąc tem zastąpić zupełny brak wiedzy. Poznałem wreszcie że jestem w łóżku, jasność była koło mnie, ale nieumiałem sobie wytłómaczyć zkąd to pochodzi. Wkońcu poznałem jednak jakieś dwuświatło. Słońce zdające się już zachodzić, czerwono przebijało się przez okna, a bliżej mnie ujrzałem płomyczki dwunastu gromnic palących się w

około łóżka postawionego na środku pokoju. Przypomniałem sobie, że ja może już umarłem, a myśl ta dodała mi siły do przewrócenia się na drugi bok. Wtem ostry wykrzyk: Żyje dzięki bogu! obił się o moje uszy. Spojrzałem i wtej chwili mój wierny Jan uchwycił mnie za rękę, okrywając ją pocałunkami. Długo niemogłem przemówić jednak wkrótce wszystkie moje władze zaczęły w właściwą kolej wstępować i nareszcie zdobyłem się na zapytanie gdzie jestem, i co się ze mną dzieje? Pan jesteś w Kulm odpowiedział poczciwy Jan, jako miejscu najbliższym wypadku, który mało o śmierć cię nie przyprawił. Przez szesnaście godzin pan byłeś bez znaku życia, i doktorowie osądzili go umarłym. Dowiedziałem się dalej że drzymiący czy pijany woźnica, wywrócił pojazd na szczycie wysokiej góry, który w pędzie opisywał koło mnie elipsy, nim się zatrzymał na dnie parowu, oparty o moją szyję wpijający się ostrem krajem swego wierzchu w moje ciało. Woźnica z Janem chcieli mi dać ratunek ale ich największe wysilenie pogororszało tylko moje niebezpieczeństwo: koła wywróconego pojazdu były oparte o stromą wzniosłość, dla tego w żaden sposób dwoch ludzi podnieść go niemogło. Upłynęło kilka chwil, ja zsiniałem pod gniotącym mnie ciężarem, a ratunek nie przybywał. Wtem dały się słyszeć głosy na górze, ludzie moi zawolali o pomoc, i wkońcu wydobyto mnie zpod pojazdu. Zawieziony do miasteczka i otoczony pomocą lekarską długo nie dawałem znaku życia, przyszedłem jednak po długiej chorobie do siebie, bez skutków okropnego tego wypadku. — W trzy lata poźniej przejeżdżałem tą samą drogą, szczytem tych samych gór w pocztowym szybkowozie, w towarzystwie dwoch Anglików, którzy wspomniawszy sobie ten wypadek niezgadzali się w zdaniu co do rezułtatu. Jeden utrzymywał że mnie zpod pojazdu wyciągnięto zabitego, drugi że dopiero drugiego dnia umarłem. Sprzeczka coraz stawała się głośniejszą, przyspieszona ich mowa, gwałtowne gusta przepowiadały groźniejszy wybuch. Wtem jeden z nich obrócił się do mnie z zapytaniem, czy mi ten wypadek niewiadomy. »Lepiej niż komukolwiek odpowiedziałem.« Wszak jenerała zabitego znaleziono, rzekł jeden. — »Wszak w parę dni dopiero umarł, przerwał drugi.« Ani jedno ani drugie odrzekłem zimno. — Jakto! pan z nas żartujesz? Coż się więc stało z jenerałem? — Żyje do dziśdnia i widzicie go oto przed sobą. Podziwienie było powszechne, a antagoniści rozśmiali się z swego bezzasadnego uporu.

Dojeżdżając do *Petschau,* stacii pocztowej między Marienbadem i Karlsbadem opowiadano nam podobny wypadek wydarzony przed kilku dniami pewnemu lekarzowi, który spadł z ogromnej góry z pojazdem u którego sworzeń się złamał. Wśród tych opowiadań posłyszeliśmy nagle spiew kanarka, coraz bliższy, coraz dokładniejszy, i wtem wyjrzawszy z pojazdu ujrzeliśmy chłopczyka, który talentem swoim złudzenie doprowadza do ideału. Szybkim biegiem towarzyszył pojazdom, a koncert jego niedoznał najmniejszej przerwy. Posiada on bowiem te dwie zdolności: szybkość biegu i gwizdania w wysokim stopniu. Ilekroć ktoś przejeżdża, odprowadza swojem swistaniem czy to do góry, czy z góry przynajmniej ćwierć mili drogi. — Podróż nasza jakkolwiek szła powoli, wydała nam się jednak zbyt szybką, tyle powabu miało towarzystwo osób, których wyobrażenia i sposób widzenia rzeczy w wielu punktach się zbiegały, osób które przelotnie poznane zostawiają miłe pamięci wspomnienie, chociaż już może nigdy więcej wspomnienie to nie rozbudzi się radością wspólnego zbliżenia.

Przybywszy do Karlsbadu, kiedyśmy wysiadali z pojazdu, każda z osób zdawała się unosić jakąś cząstkę tęsknoty, niby za rodzinnym domem. — Nowe obrazy osób i zdarzeń codzień przesuwające się przed oczyma zdają się zacierać wrażenia przeszłości, kto jednak myślą potoczy po chwilach upłynionej swobody, dojrzy owych świetlejszych punktów, niby gwiazdek na horyzoncie jego bytu, tem dokładniej, ile że chwil niezamąconych żadną troską tak mało w życiu codziennem.

Pamięci

JÓZEFA DUNINA BORKOWSKIEGO
I
DOMINIKA MAGNUSZEWSKIEGO.

Znowu zgasła nowa gwiazda!
I w otchłań nadziemną
Do słońc ją uniosła jazda;
Jej tam lepiej! nam bez gniazda
I smutno i ciemno.

Wszystko, wszystko swój krzyż miewa;
Przeznaczenia ramię
Chwastem nasz ogród zasiewa,
Kwiaty ziębi, nasze drzewa
Owocowe łamie.

I latarnię po latarni
W naszych minach gasi,
A my trwożni, błędni, marni,
Trzodą idziem, gdzie nas czarni
Wiodą stróże nasi.

Grom po gromie w wściekłym gniewie
W nasz kościoł uderza;
Jak się skarzyć dusza niewie
Czyli w płaczu, czyli w spiewie,
Czy w szepcie pacierza.

*

Oto druga nam od gromu
Upadła kolumna;
Nie zastąpić ją nikomu!
Koło walącego domu
Chodzi gawiedź tłumna.
I ciekawie tłum poziera
Jak pęka powała,
A nam boleść pierś rozdziera.
O! bo z wami zaumiera
Nasza przyszłość cała.
Żeby kościoł obbudować
Niemamy sposobu;
Waszą pamięć chcemy chować,
Przy waszych trumnach kołować
I zstąpić do grobu.
Zwalczać jako wy zwalczali
Hydrę od powicia,
Konać jako wy konali,
W niebo lecieć jak wy biali
Po koronę życia.

Kormanice 14 marca 1845.

Kornel Ujejski.

Pawłokokeizm w Anglii.

Uwagi napisane przez Kokeja.

Ciąg dalszy.

Ze ścisłego podobieństwa między sobą podobnych powieści, (a wyjeliśmy pierwsze lepsze z brzegu z pośród nieprzeliczonej ich hurmy) okazuje się że główna ich myśl jest prawie taż sama. Lecz gdy zejdziemy niżej jeszcze w ten odmęt i porzucając filozoficzne romanse weźmiemy się do powieści, tak zwanych: z życia istotnego, wyznać musimy że te ich powieści z życia są jeszcze niedorzeczniejsze dla zupełnej ich fałszywości, niżeli pierwsze dla ohydnych swych celów. Właśnie niedawno pokazała się była najprzód w jednym z główniejszych dzienników paryskich, powieść tak dziwacznie przesadzona, że gdyby jej zamiarem było przedstawić w karykaturze najgorszą stronę naszych pisarzy, lubowników scen szubienicy i galerów, mogłaby się wielce podobać; ale pisana tak na *serio* w zamiarze abyśmy uwielbiali wielką potęgę talentu jej autora i wylewali nad nią łzy rzewne; jest ona najciekawszą próbką smaku narodowego i niesłychanej zuchwałości pisarzy. T a j e m n i c e P a r y ż a Eugeniusza Sue, rozciągają powolnie swoję dziwaczną gmatwaninę przez długi przeciąg czasu, a nie dają i znaku aby były bliżej rozwiązania jak od samego początku. Posłuchajmy treści (ale komuż ona już nieznana!) Panujący xiąże jest bohatyrem; jego własna córka której on się wyrzekł bohatyrką! a powieść rozpoczyna się bójką między xięciem a jakimsiś nieznajomym na ulicy, i nagłem upodobaniem xięcia w nieznanej mu córce która zamieszkuje jeden z najlichszych suterenów w *Saint-Giles* w Paryżu! Inne *drammatis personae* są przekonani zbrodniarze, przemycarze skradzionych rzeczy, hultaje, rozbójnicy, intryganci rozmaitych stanów; wyżej wspomniany xiąże, to przebrany za robotnika, to za rzezimieszka odgrywający wpośród nich rolę opatrzności, nagradzając dobre a karząc złe. Osoby co Anglików przedstawiają: hrabina *Sarach Mac-Gregor*, prawa małżonka xięcia; jej brat Tom i Sir *Walter Murph Esquire*. Wszystkie te stworzenia boże czyli raczej pana Eugeniusza Sue, kręcą się w wirze, potrącają wzajem, przesuwają w tłumie z wielkim pośpiechem, zrazu w ulotnych światełkach jakby w panoramie, tam gdzie język jest energiczny rzemiosłowy, dalej, już nieco wyraźniej, w wiejskich zagrodach; nakoniec, w przedpokojach i pałacach, a wszystko w tak dziwacznej mieszaninie, tak zagmatwane, że najbystrzejszy umysł zagubić się musi w tym powieściowym labiryncie; a czem dalej w las, tem więcej drew.

Okropność, jest główną ingrediencią, dzisiejszych belletrycznych płodów we Francii, a w t a j e m n i c a c h P a r y ż a najchciwszy żarłok na tego rodzaju przysmaczki może być do sytu nakarmiony. Od tego śmieciska brudów, zepsucia i okropności, miło nam odwrócić się na chwilę, chociaż i ta przyjemność nie najwznioślejszej będzie natury: do nieco za grubiańskich żarcików i rubasznych opisów Pawła Koka. To też nasz przyjaciel Paweł Kok niema innych grzechów do wyrzucenia sobie jak tylko grubiaństwo i bufoneria. Co się tyczy przypisywanych mu celów: zepsucia moralności ludu, cele takowe nigdy mu przez głowę nie przeszły. On o tem nic niewie co to jest moralność; ona nigdy nie wchodzi do wyobrażeń jego o charakterach lub zwyczajach. Jeżeli uczciwy człowiek wejdzie mu w drogę, spogląda on na niego z jakimsiś rodzajem komicznego zadziwienia, jak na coś nieznajomego; zadziwienia, które dochodzi prawie do uszanowania, lecz niezawodnie okazuje on goretsze współczucie i poufalszą znajomość z ludźmi jak naprzykład kupczyki, fryziery, zalotne gryzetki i cały ród męski i żeński imbierowiczów. Bez wątpienia byłoby wielkim postępem gdyby żartobliwy Paweł Kok mógł uwierzyć w istnienie uczciwej kobiety; lecz za to te kobiety które mu wchodzą w drogę, opisuje on wprost z życia prawdziwego. Bal w prywatnym pokoiku jakiego pana majstra, lub metra tańcu, na szóstem piętrze, piknik na jednem z przedmieść, obiad u restauratora, lub familijna narada nad pro-

jektowanem małżeństwem, lepiej przypadają do smaku naszemu Pawłowi, niżeli powieści o tajnych i jasnych zbrodniach w orderowych frakach; okropnościach i zepsuciu w atłasowych spodniczkach. Jedna tylko rzecz jest arcy niemiła dla czytelnika, że często wśród tylu wesołości i dobrego humoru, przychodzi mu się potknąć o taką scenę lub opis uczucia, że go napada niepowściągnięta chętka rzucić xiążkę w ogień, lub wraz z Cezarem wyskoczyć na wierzch dyliżansu aby autora potargać za ucho. Ale następna karta znowu wszystko przywraca do porządku; i znowu radnierad śmiać się musisz do rozpuku nad komicznem nieszczęściem pana sąsiada Rajmunda, lub unosić się nad wdziękiem małpiej grzeczności pana *de Bellqueu*. Naturalność Francuzuw jest zupełnie odmiennego charakteru od tych wszystkich które nam są znane; a jednak chociaż ona jest dla nas obcą i nową, musimy przyznać że to jest istotna naturalność, rzeczywistość, jak mówi Tomasz Karlyle, a nie zaś fałsz i obłuda. Osoby jakie nam Paweł Kok przedstawia, zaledwie nazwane być mogą, w ścisłem znaczeniu tego miana, istotami ludzkiemi; ale za to są one istotami francuskiemi, i rzeczywistą krwią i ciałem, mówiące i myślące po francusku, w sposób najdecydowniejszy, i czasami, w najpierwszych napadach, posiadające uczucia które skłaniają nas do zamieszczenia ich w wielkiej rodzinie rodzaju ludzkiego, chociaż z tak wielu nierozdzielnemi wypadkami, iż ani na chwilę nie podobna nam jest zamknąć oczu na stanowcze, odznaczające się przymioty tego rodzaju do którego one przedewszystkiem należą. Lecz tak jakiemi oni są w swoich kramarskich budkach, przedpokojach, szynkowniach balowych, salach i wiejskich ucztach, takiemi też są i u Pawła Koka; nic nie zmodyfikowani, troszeczką złośliwości potrząsnięci, próżni, pustogłowy, wietrzniki, wesołego humoru, eleganci, żywi i dziwaczni. Oto pójdźmy wraz z Pawłem Kokiem do lasku ***Romainville*** dla obchodzenia rocznicy zaślubin pani i pana ***Moutonet*** w dniu św. Eustachego.

»W niewielkiej odległości od głównego balu, ku środkowi lasku, dość liczne towarzystwo obsiadło kółko na trawniku czyli raczej na piasku; obrusy zaścielone są na ziemi i okryte talerzami, półmiskami, zimnem mięsiwem, ciastami i owocami. Butelki z trunkami postawione są w chłodzie w cieniu drzew. Szklanki napełniają się i wypróżniają żwawo; dobry apetyt i otwarte powietrze dodają wszystkiemu wyśmienitego smaku. Zgromadzeni robią sobie talerze z papieru, gdy innych zabraknie i podają wzajemnie kawałki mięsiwa i sosy. Jedzą, piją, spiewają, śmieją się i płatają sobie wzajemne figle. Zdają się walczyć o lepsze w żarcikach i wesołości; wiadomo dobrze że wszystko uchodzi na wsi; a zebrana grupa mieszczków zdaje się być o tem jak najmocniej przekonaną. Wesoły, pięćdziesiątletni staruszek przywódzca tej uczty już od kwadransa poci się nad rozbieraniem indyka, ale na żaden sposób nie może odciąć potężnej jego łapy. Mała, tłusta, czerwona i jak bania okrągła kobiecina pospiesza mu w pomoc i chwytając obiema rękami łapę indyka, ciągnie z jednej strony do siebie, a wesoły staruszek do siebie: łapa indyka ustępuje na koniec tym podwójonym siłom, ale tak nagle, że tłuściutka dama pada wraz z nią wznak na trawę, a uparty jegomość przewraca koziołka w drugą stronę trzymając w garści resztę pozostałego ptaka. Zwiększają się okrzyki śmiechu i wesołości, a pan ***Moutonet,*** tak się zowie wesoły staruszek, sadowi się nazad na swoje miejsce oświadczając je już nigdy w życiu swojem nie będzie więcej nic krajał. »Ja naprzód wiedziałam co się stanie, bo ty nigdy nie umiesz nic zrobić po ludzku« odezwała się dama wysoka i gruba, tonem ostrym i pogardliwym który zgadzał się wyśmienicie z jej twarzą napuszoną i wiecznie zadąsaną. Siedziała ona po przeciwnej stronie naszego upartego jegomości i patrzała ze zgorszeniem na uprzedzającą grzeczność z jaką malutka kobiecina pospieszyła na sukurs panu ***Moutonet.***

— »Od lat dwudziestu jak żyjemy z sobą« mówiła dalej »czyliżeś aspan potrafił rozkroić co kiedy w domu?«

— »Nie, moje kochanie! to wielka prawda« odrzekł zkonfundowany jegomość, pokornym głosem, i usiłujący uśmiechem pokryć swoje pomieszanie.

— »Tybyś nie potrafił rozkroić sobie sam jajka a bierzesz się do krajania czegoś podobnego.«

— »Moje kochanie... na wsi ty wiesz....«

— »Na wsi mój panie, czy to w mieście, ludzie nie powinni porywać się do tego, czego nie umieją.«

— »Wiesz dobrze pani ***Moutonet,*** że zazwyczaj ja nigdy nic podobnego nie robię.. ale dzisiaj....«

— »Dzisiaj powinieneś był robić tak jak w każdym innym dniu« odrzekła dama.

— »Ach! ależ moje życie zapominasz że to dziś mamy św. Eustachego.« — »Tak, tak, dziś świętego Eustachego!« powtarza chórem cała kompania, i napełniają się szklanki i potrącają wzajem jak wprzódy. »Zdrowie solenizanta! niech żyje Eustachi!«

— »Zdrowie wasze szanowne panie i panowie!« odpowiada pan ***Moutonet,*** uśmiechając się wdzięcznie.... »W ręce twoje mój aniołku!«

Do swojej to szanownej połowicy pan ***Moutonet*** stosował ostatnie słowa, usiłuje ona przybrać jak

może najwdzięczniejszą minę i zezwala na zetknięcie swej szklanki ze szklanką. Pan Eustachi *Moutonet*, jest bogatym szmuklerzem z ulicy *Saint Martin*, człowiekiem wielce szanowanym w kupieckim stanie: żaden z jego rachunków nie podlegał nigdy zaprzeczeniu, ani też żaden u niego obstalunek nie został zawiedzionym. Od lat trzydziestu jak utrzymywał sklep nie zaniedbał nigdy siedzieć w nim od ósmej z rana do ósmej wieczór. Do niego należy czuwać nad xięgą dziennych zapisów i wielką xięgę. Pani Mutonet przyjęła na siebie listowanie, tudzież prowadzenie interesów handlowych. Zatrudnienia w samym sklepie i rachunki powierzone są staremu subjektowi i pannie Eugenii Mutonet z którą natychmiast lepiej się zapoznamy.

Pan Mutonet, jak już można było zauważać, nie jest głową swojego domu. Jego żona rozkazuje, panuje i rozrządza wszystkiem samowładnie. Jeżeli się trafi że jest w dobrym humorze, a trafia się to bardzo rzadko kiedy, pozwala swojemu małżonkowi pójść i napić się szklaneczkę kawy, rozumie się że pod tym jedynym pozorem wyprasza on się do kawiarni przy ulicy *Mau-consul*, gdyż słynie ona z hojnego udzielania cukru, a pan Mutonet przynosi zawsze do domu kilka kawałków dla kochanej żony. W dzień świąteczny obiadują trochę wcześniej niż zwykle, aby mieć czas na przechadzkę do Tuileriów lub *Jardin Turc*, wycieczki na wieś bardzo rzadko przytrafiają się i tylko w nadzwyczajnych okolicznościach jak np. rocznica ślubu lub dzień imienin pani i pana Mutonet. Ten cichy jednostajny rodzaj życia nie przeszkadza wcale naszemu gospodarzowi aby się czuł zupełnie szczęśliwym, taką to jest prawdą że co jednemu trucizna to drugiemu przysmaczek. Pan Mutonet urodził się z prostemi i skromnemi gustami, potrzebuje on koniecznie aby go zawsze ktoś prowadził i obchodził się z nim jak z delikatnem dzieckiem. Nie śmiejcie się i niewzruszajcie na to ramionami, wy samowładni i nieposłuszni panowie, tak dumni z praw waszych, tak napuszeni waszemi zalety. Wy! którzy sądzicie się być zawsze i wszędzie panami waszych czynów, wy ulegacie co dzień żądzom waszym! one wami kierują, a kierują często bardzo źle. Otoż pan Mutonet nie obawiał się tego wszystkiego, on niemiał żadnych niespokojnych namiętności, on nie wiedział o niczem oprócz o swoim handlu i posłuszeństwie dla żony. Znajduje on że mężczyzna może być bardzo szczęśliwym chociażby nie umiał rozbierać indyka, i dozwalał we wszystkiem przewodzić nad sobą swej żonie. Pani Mutonet oddawna przeskoczyła czwarty krzyżyk; ale również od dawna rzecz to już ułożona, aby nigdy nie miała więcej nad lat trzydzieści i sześć. Ona nigdy nie była ładną; ale za to jest wysoka i gruba, a mąż przekonany że ona wygląda wspaniało. Nie jest ona zalotną, ale w mniemaniu swojem sądzi się być wyższą nad kogokolwiek w talentach i urodzie. Nigdy ona wiele nie dbała o swojego mężulka; ale gdyby tenże okazał jej się choć na szpilkę niewiernym, niezawodnie wydrapałaby mu oczy. Pani Mutonet jak widzicie nieskończenie zazdrośna o prawa swoje. Córka jest jedynym owocem związku pana Eustachego Mutonet i panny Barbary Dezormo. Ma teraz lat ośmnaście: a w ośmnastu leciech młode panny we Francii są już dobrze dojrzałe. Lecz Eugenia była surowo wychowaną, a chociaż posiada wiele bystrości pojęcia, jest nieśmiałą, łagodną, potulną i nigdy nie pozwala sobie najmniejszego słowa oporu w przytomności rodziców. Jest ona biegłą w zatrudnieniach swoich, wdzięczną w układzie i czułą, lecz wcale niewiadomą o przymiotach jakie odebrała z rąk przyrody; uczucia jej, jak dotąd, zamknięte są w najtajniejszej kryjówce jej serca. Nie jest ona w cale zalotną, czyli raczej nie ulega nigdy owej skłonności przywabiania, przypodobania się, tak wrodzonej kobietom, która czyni je tak troskliwemi na to aby ładnie wyglądały i aby się na nie patrzano. Lecz też Eugenia wcale nie potrzebuje żadnych podobnych zabiegów, żadnej sztucznej pomocy, tak niezbędnej dla drugich, ani też uciekania się co chwila do swojego źwierciadła. Posiada ona zgrabną postać, i jest prawdziwie ładną; jej oczy łagodne i pełne wyrazu, głos jej czuły i przyjemny, białe jej czoło ocienione kruczemi kwiatami gęstych włosów, a malutkie koralowe usteczka zamykają dwa sznurki równych, białych perełek. W całej jej postaci zawiera się jakiś bezimienny urok, który zachwyca od pierwszego rzutu oka, a nie zawsze jest udziałem większych piękności i regularniejszych rysów twarzy. Znamy już teraz całą rodzinę Mutonetów; a gdyśmy zapuścili się już tak daleko, zróbmyż więc znajomość z innemi osobami które składają towarzystwo przybyłe do lasku *Romainville* dla obchodzenia uroczystości św. Eustachego.

Malutka kobiecina która tak żwawo pospieszyła na pomoc panu Mutonet, jest żoną wysokiego jegomości nazwiskiem Bernard, kupczącego zabawkami dla dzieci. Pan Bernard odgrywa rolę przyjemnisia oraz i pajaca: śmieje się, dowcipkuje, stroi rozmaite miny, strzela konceptami, a nawet robi kalambury; słowem jest to *bel esprit* swojej koterii. Jego połowica była niegdyś przystojną i pragnie być taką dotąd. W skutku czego ściska się w pasie tak potężnie

że zaledwie może oddychać, i całą godzinę obraca na wdzianie jednego trzewika: bo ułożyła sobie aby mieć małą nóżkę. Jej twarz jest trochę zanadto karmazynowa; ale zato jej oczy pełne ognia, żywości, i stara się o to bezustannie aby im nadać wyraz jak najniebezpieczniejszy. Pan Bernard ma słuszną, pietnastoletnią córkę, którą ubiera jak pięcioletnią dziewczynkę, każe jej się bawić lalkami, traktuje jak dziecko, aby ją jak najdłużej utrzymać w dzieciństwie. Obok pani Bernard siedzi ośmnastoletni młodzieniec, który jest prawie tak nieśmiałym jak Eugenia i płoni się co chwila ilekroć kto do niego przemówi, chociaż już od sześciu miesięcy siedzi za kantorem w sklepie. Jest on synem przyjaciela pana Bernard, a żona tegoż przedsięwzięła opiekować się nim i wprowadzać go w dobre towarzystwa.

Mężczyzna około lat czterdziestu, z jedną z tych głupiowatych, naiwnych, fiziognomij na których oszukać się niemożna od pierwszego rzutu oka siedzi obok Eugenii. Pan Dupont, tak się on zowie, jest bogatym imbierowiczem z ulicy *des ours*. Używa on pudru i nosi perukę z harcopem, bo mu jego fryzier wyperswadował że to w dobrym tonie i wielce arystokratycznie. Jego jasnoniebieski surdut, i cytrynowa kamizelka jeszcze wydatniejszemi czynią prostoduszny wyraz całej jego postaci, i zgadzają się przedziwnie z wyrazem zadziwienia jego zielonawych, cybulowych oczu. Przebiera on bezustannie palcami, z wielkiem zadowolnieniem swojem, po dwoch złotych łańcuszkach od zegarka, które dygocą po wierzchu jego nankinowych spodni; zdaje on się być w ciągłem zachwyceniu nad wysokim rozumem swoich własnych postrzeżeń; ma siebie za niebezpiecznego dla płci pięknej, pełnego dowcipu, słowem, czarującego. Posiada on wszelką zarozumiałość głupstwa podpartego pieniądzmi, koniec końców jest on kawalerem, co mu nadaje wielkie poważanie u wszystkich rodzin gdzie się znajdują panny na wydaniu. Pan i pani Gerard perfumarze z ulicy *Saint Martin*, należą także do dzisiejszego zgromadzenia. Perfumarz przedrzeźnia eleganta, wesołego Lotario, a w swoim obwodzie posiada on reputację libertyna, i uwodziciela, chociaż jest brzydki, licho zbudowany i zyzowaty. Lecz jemu się zdaje że on pokrywa te wszystkie ułomności rozlewając na siebie zdroje pachnideł; to też o pół mili czuć go można piżmem i ambrą. Jego żona jest młoda i ładna, poszła za niego mając lat pietnaście, a dziewięcioletni jej syn wygląda na jej brata. Młody Gerard, hałasuje i skacze; tłucze butelki i szklanki, i robi więcej wrzawy niżeli cała kompania razem wzięta. »To mały lewek« woła pan Gerard; on jest zupełnie tem czem ja byłem w jego wieku. O! wy nie możecie sobie wyobrazić jaki to chwat był ze mnie. Mój syn jestto wykapany mój portret.

Siostra pana Gerard, stara panna około lat czterdziestu sześciu, jeżeli nie więcej, która nie zaniecha żadnej sposobności oświadczenia głośno iż nigdy nie myśli iść za mąż, a wzdycha za każdą razą gdy pan Dupont spojrzy na nią nawiasem, siedzi tuż przy panu Mutonet. Stary subjekt szmuklerza, pan *Bidois*, który oczekuje na pozwolenie pani Mutonet aby otworzyć gębę, i napełnia swoją szklankę za każdą razą gdy ta dama nie patrzy na niego, zajmuje miejsce po drugiej stronie panny Cecylii Gerard; która chociaż przysięga co chwila że nigdy za mąż iść nie myśli i że nienawidzi cały rodzaj męski, bardzo jest w złym humorze i dostała pana *Bidois* za sąsiada, i daje do poznania nawpół zrozumiale, nawpół złośliwie że pani Bernard monopolizuje wszystkich młodych i ładnych chłopców. Młodzieniec około lat dwudziestu, słuszny, zgrabnie zbudowany, pięknych rysów twarzy których wyraz pełen dowcipu i przenikliwości zwiastuje iż w przyszłości może świetniejsze błyszczą dla niego przeznaczenia, niżeli wieczne odmierzanie łokciem kolikusu, siedzi obok Eugenii. Ten młodzieniec który nazywa się Adolfem, jest pomocnikiem w jednym ze znaczniejszych modnych sklepów, w którym pani Mutonet robi swoje kupna; a ponieważ on zawsze daje dobrą miarą, zaprosiła go tedy na ucztę. A teraz już zaznajomiliśmy się z całą kompanią która obchodzi uroczystość zaślubin państwa Mutonet.

Nie myślimy zapuszczać się dalej z Pawłem Kokiem w rozmaite przygody tego towarzystwa które on nam tak troskliwie opisał. Przeglądając powyższy ustęp zamiarem naszym było aby czytelnik mógł się przejrzeć w zwyczajach i obyczajach ludzi którzy zgromadzają się na pikniki w lasku *Romainville* i mógł, jeżeli zechce, porównać pana Mutonet i jego przyjacioł do jakiego bogatego szmuklerza i przyjacioł jego jakichby zaznał w Londynie. U nas szmuklerz mający takie stosunki w handlowym świecie jak pan Mutonet, imbierowicz tak bogaty jak pan Dupont, a nawet perfumarz tak *fashionable* jak pan Gerard, zamówiliby sobie w podobnej okoliczności pyszny obiad w *Blackwell*, lub zrobili konną przejażdżkę do Epsom; a co się tyczy przyjęcia do towarzystwa swego, tak lichej i pokornej istoty jak pan *Bidois*, a nawet tak mało znaczącej jak kupczyk z handlowego sklepu pan Adolf, byłoby dla nich toż samo co zapraszać do kompanii swojej którego z uliczników. O pięć mil od miasta trzej nasi przyjaciele, mieliby siebie za lordów i zfukaliby należycie w najarystokra-

tyczniejszy sposób kelnera któryby nie pospieszał co tchu na ich rozkazy i niepodawał dość prędko spirytusu brandy z wodą. We Francii, a przynajmniej u Pawła Koka, nikt nie goni za pozorami. Szmuklerz jest szmuklerzem tak w sklepie, jak za sklepem o mil kilka; a nawet żona szmuklerza, choć kobiety zwykle próżne (?) nie ma żadnej pretensii aby ją wziętą za żonę jakiego hrabi lub markiza. Pani Mutonet zdaje się o tem zupełnie nie wiedzieć aby była gdziekolwiek jaka dama wyższa od niej w stopniu lub położeniu w świecie. Herbarz jest dla niej zapieczętowaną xiążką. Jej przyjaźnie, nienawiści, ambicie, zazdrość i dążność, ograniczają się w jej zakresie. Przeciwnie w Anglii, żona bogatego szmuklerza patrzy z góry na żonę każdego innego kupca i gardzi nią z religijną gorliwością; ona zaledwo wie o tem gdzie stoi sklep jej męża, lecz z wysokości *Balham* lub *Hampstaud* spogląda na dół z pyszną wzgardą na pracujące istoty które przez dzień cały stoją za kantorem w sklepie. Pan mąż z swej strony usiłuje odrzucić od siebie wszelkie przypomnienie budy kramarskiej, w trzechmilowej przejazdce omnibusem, a o godzinie szóstej lub siódmej wziąłbyś oboje to czcigodne małżeństwo za xięcia i xiężnę, gdy siedzą poważnie na kanapie w pysznie umeblowanej bawialni, przysłuchując się dwom eleganckim, młodym damom jak męczą fortepiana, i trzeciej jeszcze wykwintniejszej która niemiłosiernie szczypie hiszpańską gitarę. Skutkiem tego wszystkiego jest, o ile się to tyczy naszych angielskich Pawłów Koków, że ich kupczyki, szmuklerze, bogaci imbierowicze, i eleganci perfumarze muszą być przedstawiani w przybranym a nie we własnym ich charakterze, w małpowaniu ludzi których mylnie poczytują za lepszych od siebie; gdy tymczasem nasz prawdomowny Paweł Kok maluje kupców paryskich bez żadnej przesady. Nasi przedstawiani być muszą w karykaturach, przesadzani w śmieszności, która jest zwykłą cechą wszelkich małych czy wielkich pretensij, bo niepodobna schwycić właściwy im charakter u ludzi którzy są w ciągłej maszkaradzie; podczas gdy rzeczywista, szczera natura kupiectwa francuskiego jest główną cechą charakterystycznych szkiców Pawła Koka, i stokroć razy więcej mają one wartości, i wreszcie daleko więcej mogą nas zainteresować. Kogoż naprzykład obchodzić mogą przesadzone pretensie i grzeczności jakiego kupczyka z Manszestru i usiłowania jego w pocie czoła aby miał minę arystokratyczną?... Jestto zawsze aktorstwo i zmyślanie, i nie dozwala nam wglądnąć w jego rzeczywisty charakter, lub charakter jego klasy, tak właśnie, jak z pretensii jakiego partacza który na gwałt chce odgrywać rolę Romea, nie możemy poznać czyby on był zdolny do czego innego.

Dokończenie nastąpi.

TEATR.

Jako pierwsze przedstawienie po świętach wielkanocnych, odegrali aktorowie sceny polskiej dnia 26 z. m. dramat pięcioaktowy wierszem napisany przez Adama Gorczyńskiego pod nazwą Zbydowscy. Działanie dramatu tego z życia domowego naszych przodków, z wieku siedmnastego wyjęte, ma mało jednakże cechy owoczesnej co do ogólnej idei, chociaż wiele surogotów jest prawdziwie narodowych, a oddanych, pominąwszy nieco zaniedbania, wierszem gładkim, a nawet zwrotami pełnemi myśli potężnych. Jakoż by prawdę wyznać, dramat ten niema całości prawdziwie artystycznej; są położenia dramatyczne szczęśliwie schwytane, ale tak różnorodne, a nawet powiedziećby można, różnoczasowe, że przy największym talencie trudno je było powiązać razem. Nie wdając się w więcej szczegółowy rozbiór tego utworu, to tylko dodamy, że miłym zawsze dla nas jest zjawiskiem na scenie polskiej, tak dotąd ubogiej, każdy utwor oryginalny. Może gdyby było więcej pracujących na polu dramatycznym, przyszlibyśmy z czasem do lepszych dzieł dramatycznych, które że nie są łatwe, najlepiej świadczą słabe dramata sławnego autora Childe-Harolda i Korsarza. Gra aktorów w ogólności była dobra, mianowicie pana Nowakowskiego w roli starego cześnika Zbydowskiego, i pana Smochowskiego w roli młodszego Zbydowskiego. Pani Aszpergerowa oddała rolę Klary pracowicie, lecz zdaniem naszem rola ta była z swoją zbytnią tkliwością i młodziuchną naiwnością, mniej stosowna dla niej. Pan Dawison w roli Wiesława Zawiszy był nienaturalny; co może przypisać należy samejże roli przesadziście sentymentalnej.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.